

Trzeba zawinąć do portu i to do najbliższego. Niema co wyierać. Ni: g ys mów. l. m so. l. e: panna młoda i piękna, z dobrej rodziny i z posagiem. — Dzisiaj rezygnuję nieco z młodości, nieco z piękności, a e spieszyć się trzeba, ażeby nie zrezygnować i z reszty.

Jazda na targ!... Janie, biegnij po flakra!

## ZARTY I DOWCIPY.

**Chytry chłop, lecz mędrzy od niego sędzia.**

Chytry chłop, który po cygańsku się chciał zбогаć i żyda oszwoić, pożyczyl od Moška 100 talarów, a na wekslu napisal, że zapłaci na św. Nigdy. Żyd rozumiejąc, że to wprawdzie jakie święto, jak np. św. Wojciecha, przystal na to.

Po upływie kwartału, żyd chce od chłopu pieniądze. Ten mówi, że na św. Nigdy mu zapłaci, jak na wekslu stoi. Żyd czeka drugi kwartał i trzeci; zresztą gdy chłopek pieniędzy dać nie chce, idzie do sądu.

Sędzia przeczytawszy skargę, uśmiecha się nad filutem i myśli długo, jakby chłopu przymusić do zapłaty. Przeznacza termin.

Stawia się żyd, stawia się chłopek.

— Jakże mówi sędzia — czy nie chcesz chłopu, 100 talarów zapłacić?

— Chcę, ale na św. Nigdy.

— Dobrze — mówi sędzia — przejrzałem kalendarz, tamci ów św. Nigdy mianowicie nie jest jak wielu innych Świętych, toć ten św. Nigdy też musi być pomiędzy nami, a ty 100 talarów z procentami i koszła musisz zapłacić.

**Wzięli się na sposób.**

Czerech filuów przyszedłszy do gospody, kazali sobie dać otiad doiry i wina starego. Zadultszy i napiwszy się dobrze, jeden z nich udawał, iż chce za wszystkich zapłacić, sięgnął ręką do kieszeni swojej; drugi niby mający podobny zamiar, przytrzymał rękę pierwszego. Trzeci odezwał się, iż on koniecznie ma zapłacić za całą kompanję. Czwarti obróciwszy się do czeladnika owej garkucini, który pieniądze miał oebrać, rzecze: wara! żebyś od żadnego z tych Ichmościów nie przyjmował pieniędzy; ja ci za wszystkich zapłacę. Gdy się tak z sobą umawiali, jeden z nich rzecze: oto tak posłapmy. Mości panowie, zawiążemy oczy temu czeladnikowi, jak w ślepą łabkę grając czynią, a którego z nas złapie, ten zapłaci. Zgodzili się na to, Łatwowierny czeladnik ów, z zawiązanymi oczyma zaczął się po izbie kręcić a oni jeden za drugim cicho wymknęwszy się uciekli. Tymczasem sam pan tej gospody wchodzi do izby. Czelnik złapawszy pana, rzecze: Pan musisz zapłacić! Otworzy oczy, spojrzy, aż ci to pan jego, a z owych filuów żadnego nie znajduje. Łatwo się domyślić, jak się potem z panem rozmówił.

**Ostróżny Lejbuś.**

Tchórzhwy żydek Lejbuś Berger dostał się jako rekrut do szwadronu kirasyerów, którzy na piersiach noszą wypukłą blachę stalową, zwaną kiras. Naszemu rekrutowi nie bardzo się podobała ciężka Łacha, a jeszcze mniej ostra szabla i pistolet. Co on przed wojną użył strachu, to tručno by było opowiedzieć. Nagle w nocy usłyszał przeraźliwy głos trąb i bębnow; żołnierze zbiegają się na plac musztry. Przestraszony żydek pyta się nadchodzącego kamrata: Ty, co to trąbią i bębnują, a jeszcze w nocy?

— Trąbią na alarm!

— Co za alarm?

Zbieraj co tchu wszystkie swoje rzeczy, a ruszaj do koszar po konia!

— Zlituj się, pomóż mi dam ci złotyl

Na placu pułkownik przegląda wojsko, aż spostrzeże naszemu Lejbusiowi bez kiras.

— Gdzie masz twój kiras?

— Przepraszam jaśnie wielmożnego pułkownika, przypiąłem go na plecy.

Powstał ogromny śmiech, gdy ujrzeli naszego Lejbusia, który zamiast piersi zaslonił sobie plecy kirasem.

— Do kroć tysięcy armat, dla czego żeś kiras przypiął na odwrotnej stronie.

— Bałem się bitwy.

— Właśnie do bitwy potrzeba kiras na piersiach.

— A jak też przyjdzie do ucieczki, toby mi strzelił do plecy?

Bieć a ty była z naszą armją, gdybyśmy mieli więcej tak walecznych żołnierzy jak Lejbuś Berger, który o niczem więcej nie myślał, jak tylko o ucieczce!

**Spryt złodziejski.**

W pewnym hotelu zamieszkał na krótki czas młody człowiek, który potrzebował butów, a nie miał pieniędzy... Zamówił tedy dwie pary, ale każdą u innego szewca. Jednemu kazal przynieść parę o trzeciej po południu, drugiemu o czwartej.

Pierwszy szewc przyniósł pierwszą parę. Młody człowiek przymierza i okazuje się, że bót z lewej nogi ciśnie.

— Niechże pan ten dobry zostawi, a ten drugi, proszę rozbić na kopycie i jutro mi przynieść, jak pan przyniesie, to zapłacę.

Tak się też stało.

Za godzinę przychodzi drugi szewc i okazuje się, że bót z prawej nogi ciśnie, więc majster zostawia bót z lewej nogi, a z prawej bierze, aby rozbić na kopycie, i jutro przynieść i wziąć zapłatę.

Nazajutrz schożą się obydwaj majstrowie: jeden z butem z lewej, drugi z prawej nogi — ale młodego człowieka już nie było, wyjechał z hotelu jeszcze wczoraj i zabrał parę butów, którą mu zrobili dwaj majstrowie.

**Najrzęczniejszy między czterema.**

Czerech żołnierzy: Polak, Węgier, Czech i Moskal stało na kwaterze u bogatego włościanina. Przy wymarszu z domu rzekł Polak:

— Towarzysze, nasz gospodarz ma schowany słuczny zegarek w stole.

— Bassa teremete — zawołał Węgier — trzeba go było wziąć z sobą.

— Mam go już — mówi Czech w nadziei, że się wymknie towarzyszom, wróci do chłopu i ukradnie mu zegarek.

— O jeszcze go nie masz, bo ja go mam! — mówi Moskal i wyjął zegarek z kieszeni.

**Obrachunek żydowski.**

Dwóch żydów galicyjskich, jedzie okrętem do Ameryki. Wtem okręt zaczyna na pełnym morzu tonąć. Jeden z nich jest w rozpacz i załamując ręce, — woła:

— Mojszi! Mojszi! giewall! okręt idzie na spust!

— Jaki ti Szulim głupi — odzywa się zimno drugi. Ti nie poczebujesz tak rozpaczyc, ani krzyczec, to to przecie nie twój okręt. Okręt jest kapitana, to niech sze un smuczil!

# ŚMIESZEK

## DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.

Nr. 1.

Styczeń

Rok 1928

### Figiel aktorów.

Do pewnej oberży w Warszawie zajeżdżało dużo podróżnych. Można tam było i dobrze się przebrać i dobrze zjeść i wypić, a gospodarz nie kazal sobie za wiele płacić.

Na początku lutego jednego roku zajechało też tam dwóch aktorów czyli takich ludzi, którzy w teatrze występują przebierani coraz to inaczej. Byli to wielcy figlarze, a tem bardziej do płatania figli sposobni wtedy, gdy czuli pieniądze w kieszeni. Teraz właśnie mieli sporo grosza, a więc i myśl ich była swobodna.

Jeden z nich miał mieszkanie na dole, drugi u góry. Oprócz nich oczywiście mieszkało jeszcze wielu innych podróżnych tak na dole, jak u góry.

Przybywszy dość późno do oberży, zaraz udali się na spoczynek, lecz przedtem coś ze sobą mówili, jakby się naradzając względem czegoś.

Na drugi dzień rano powstali dość rychło z łóżek i ten, który mieszkał na dole, przyszedł do towarzysza u góry mieszkającego.

Po chwili wyszedł z tej samej izby golibroda z torebką pod pachą, w której miał brzytwy, mydło i wszystko, co do golenia potrzeba. Widocznie taki tu był zwyczaj, że golibroda rano od izby do izby chodził i podróżnych golił.

Zapukał też zaraz do następnych drzwi.

— Nie potrzeba golibrody? — zapytał.

— Owszem — odezwał się głos.

Golibroda wszedł, a widać bardzo był bległy w swoim zawodzie, bo ani dwóch minut nie trwało, a już znów wyszedł i do dalszych drzwi pukał.

Krótko przedtem z izby aktora wyszedł drugi golibroda, i zeszedłszy na dół, zaczął chodzić od drzwi do drzwi, a widać co do zręczności nie ustępował swemu towarzyszowi, gdyż i on nadzwyczajnie szybko z pokoju do pokoju przechodził.

Po kilkunastu minutach obszedł górny trzynastu, a dolny dziesięciu podróżnych i znów wrócili do izb zamieszkałych przez aktorów.

W tem zaczęły się drzwi otwierać od izb na dole i u góry i posłyszano wołanie: No, jakże tam? Golibrodo, gdzie siedzicie? Hej, hej, spieszcie się!

W izbach było slychać zniecierpliwione głosy podróżnych, a najgłośniejsze krzyki wydobywały się z izb przez aktorów zajętych.

Nakoniec zaczęli podróżni u góry i na dole wychodzić do sieni i krzyzcć. Obaj aktorzy wrzeszczeli najmocniej. Zrobił się straszny zamęt, krzyk, zbiegowisko.

Gospodarz i cała służba zlecieli się oglądać, co się stało. Ale cóż zobaczyli?

Oto trzynastu podróżnych u góry, a dziesięciu na dole stało w sieni, a wszyscy mieli namydlone brody, jak to golibroda namydla brodę przed ogoleniem. Widok ten był tak śmieszny, że wszyscy nienamydleni za brzuch się trzymali od śmiechu, co do tem większego gniewu pobudzało namydlonych. Wrzeszczeli tak mocno, że aż przechodnie na ulicy stawali.

— Co to znaczy? — pyta gospodarz.

— Co znaczy? — odpowiedział na to jeden z aktorów — to znaczy, że golibroda waszej oberży zaartował sobie z nas wszystkich. Przyszedł on do mnie i skoro mnie namydlił, powiedział, iż brzytwy w izbie innego podróżnego zapomniał, ale zaraz ją przyniesie. Jak poszedł, tak już się więcej nie pokazał.

— Ten lotr! Ten opryszek! Odybym go tu miał! — tak wołali inni podróżni. Nam tak samo zrobił i tak samo powiedział.

— A nam na dole tak samo się stało. — objaśnił ktoś z dołu.

Gospodarz posłał po golibrodę, który zazwyczaj podróżnych golić przychodził. Ten wnet przybiegł, lecz wszyscy podróżni oświadczyli, iż to był inny człowiek.

Cóż tu począć? Gniewać się, na nic się nie przyda, więc ostatecznie wszyscy się zaczęli śmiać z tej przygody i domyslać, kto by to tego figla mógł wyplatać.

Wszędzie sprawcy szukali, tylko nie między podróżnymi. Tymczasem obaj aktorzy byli owymi golibrodami. Właśnie niedawno w pewnej sztuce teatralnej występowali jako golibrody i mieli przeto wszystko, czego do golenia potrzeba. Ale z tem się nie zdradzili i dopiero po ich odjeździe, znaleziono w izbie jednego z nich list z objaśnieniem, zaadresowany: „Do wszystkich namydlonych“.

### Najrzęczniejszy złodziej na całym świecie.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Przed laty było kilka osób na herbacie w salonie gubernatora Moskwy, (carewicz). Rozmowa zбочyla do rzezimieszków. Carewicz utrzymywał, że najrzęczniejsi złodzieje są moskiewscy. Ambasador zaś francuski uparcie bronil sławy złodziej Paryża.

— Dobrze — odpowiedział carewicz — ja pana przekonam tu w moim salonie, że nasi najrzęczniejsi. Zanim pan wyjdiesz stąd, będziesz pozbawiony zegarka: proszę, pilnuj go dobrze, zgoda?

— Zgodził

Po godzinie czasu, pyta carewicz ambasadora:  
— Która godzina?

Ambasador z przerażeniem spostrzega, że nie ma zegarka.

— Na Bogal książę jak się to stało? ... Nikt nie przyszedł, nikt nie wyszedł, rękę moją miałem na ławeczku, nie poruszaliśmy się z miejsc naszych, jak się to stało?

Ody goście ubawili się do syta zdziwieniem pana ambasadora, carewicz powiedział, że obecny w salonie oberpolicmajster zatelefonował do policji, ażeby przysłali dobrego złodzieja. Ubrano go w pałacową liberję, zawinął się w salonie raz, dwa przy usłudze i oto wasza ekscelencja nie masz zegarka.

Książę kazał zawołać złodzieja.

— Odzie masz zegarek?

— Oto jest wasza Wysokość!

Ambasador podziękował, podziwiając zręczność i wyrzekł:

— Złodziej, nie złodziej, wart on nagrody — i sięgnął do portmonetki: a tu inne zdziwienie, wszystkie kieszenie pustel ...

Złodziej zbladł.

Oberpolicmajster mówi:

— Ja tobie kazałem ukraść zegarek, a ty wyprątnałeś wszystkie kieszenie, oddaj wszystko.

Nie było rady, wygalowany złodziej wyłożył na stół pugilares, portmonetkę, złotą papierośnicę aż do dębaczki do zębów i chustki ... i byłoby może na tem skończyło się, gdyby wielki książę nie spostrzegł w tejże samej chwili, że i lemu brak zegarka, że i jego kieszenie wszystkie próżne! ...

Czy rzeźmieszek dostał 100 rubli „nagrody”, czy 100 pałek o tem ruskie gazety nie pisały.

## Jak kowal śmierć oszukał a diabłu skórę wygrzmocił.

(Wesoła powiastka ludowa)

Przed kuźnią poczciwego i pracowitego kowala, zatrzymał się ubogi zakonnik jadący na ostelku i prosił naszego majstra, aby mu osła podkuł, co gdy kowal uczynił, zakonnik jako zapłatę kazał mu życzyć sobie trzech rzeczy. Kowal bez długiego namysłu odpowiedział:

— Najprzód życzę sobie, aby butelka moja zawsze była pełna wódki.

— Spełni ci się to! — odrzekł zakonnik, upominając go, żeby nie zapominał o najważniejszym.

— Po drugie, — mówił kowal, — życzę sobie, aby złodzieje, którzyby na moje gruszki przyszli w nocy, bez woli mojej zejść z drzewa nie mogli.

— Dobrze — odrzekł zakonnik — i to życzenie, ci się spełni, tylko nie zapominaj, — tak go znowu ostrzegł — o najważniejszym.

— Po trzecie — mówił kowal — życzę sobie, aby bez mojego pozwolenia nikt nie mógł wniknąć do mojej izby, chyba dziurką od klucza.

— Życzenia twoje się spełnią — odpowiedział zakonnik — żałuję tylko, że czegoś lepszego sobie nie życzył.

To mówiąc, dotknął się ręką sztabów żelaza w kuźni się znajdujących, które natychmiast w srebro i złoto się zmieniły. Poczem zakonnik wsiadł na osiełka i pożegnał zżumionego kowala.

Tak nagle zubożony kowal nie porzucił jednak swego rzemiosła i pracował i nadal od rana do wie-

czora, stół jego tylko się różnił od dawniejszego, kiedy jeszcze był u ogim. Najlepszym a oli napojem jego była, jak dawniej wódeczka, której z czarodziej-skiej flaszki nigdy nie ubywało, a miała przytem tę własność, że pijącemu przedłużała życie.

Gdy kowal skończył rok swój, zapukała do drzwi jego śmierć. Kowal ucwiał, jakoby śmierć od dawna była mu pożądaną i chętnie z nią iść gotów, prosił jej tylko jeszcze o łaskę, żeby mu pozwoliła po-silić się na drogę wieczności kilku gruszkami z ogrodu jego. Śmierć zezwoliła i poszła nawet z nim do ogrodu. Gdy stanęli pod drzewem pełnym pięknych dojrziałych gruszek, rzekł kowal do śmierci:

— Mnie starem u ciężko na drzewo się wskrohać, wleż więc z łaski swej na drzewo i zerwij dla mnie kilka gruszek.

— Owszem, — odpowiedziała śmierć na drzewo się skrobiać.

A gdy już weszła na drzewo zawołał uradowany kowal:

— Siedźże tam teraz, dopóki ci zejść nie pozwolę.

Długie lata siedziała śmierć jak przykuta na drzewie, a przez cały ten czas nikt na ziemi nie umarł. Dawno już wszystkie gruszki, a w końcu i liście — śmierć z drzewa zjadła a kowal tylko z niej drwił i szydził. Z głodu śmierć już nawet własne ciało objadała, dlatego też była teraz tak strasznie chuda i słaba. Po długich prośbach śmierci, przyobiecanej jej narreszcie kowal uwolnienie z drzewa, jednakże pod tym warunkiem, że wyrzeknie się prawa do jego osoby. Śmierć na warunek ten z ochotą przystała, a po uwolnieniu uciekła, jak mogła i kowalowi dała już spokój na zawsze.

To ją jednak marwiło, że prosty kowal takiego jej siła splatał, namówiła więc djafa, aby się za nią na nim zemścił. Djał do tego skory, popędził do kowala, a stanawszy tam zapukał do drzwi. Kowal poczuł pismo noseni, zamknął drzwi na klucz a na otworze od klucza przytrzymał otwarty worek. Gdy djał długo drzwi nie otwierano, dziurką od klucza wciskając się do izby, dostał się w worek. Kowal czemprełzej do worka, zawiązał go, zawołał czeladników swoich i wszyscy razem położywszy diabła w worku na kowala, najcięższymi młotami kuć po nim poczęli. Djał wył i ryczał, aż całe piekło drżało ze strachu. Prosił, przysięgał, że już nigdy do kowala nie przyjdzie, a uwolniony zmykał co tchu do piekła.

Kowal żył jeszcze długie lata w spokoju, a kiedy już wszyscy krewni, przyjaciele i znajomi jego pomarli, jemu także życie się sprzyrzyło. Przygotował się więc na drogę wieczności i udał się w podróż do nieba.

Przyszedłszy tam, nieśmiało zapukał do drzwi niebieskich. Piotr święty wychylił głowę, a nasz kowal, któremu było na imię Piotr, poznał w nim dobrego patrona swego, który mu się w postaci ubożego zakonnika na ziemi objawił i całe życie tak łaskawym dlań się okazywał. Teraz jednak Piotr św. surowo do niego się ożewzał:

— Idź precz zjad, dla ciebie niebo zamknięte, hoś zapomnieli prosić o najlepsze: o zbawienie!

To powiedziawszy, zamknął kowalowi drzwi, przed nosem.

Błagając się tedy długo, zaszedł kowal ku piekłu; spostrzegłszy go czarci, ze strachu drzwi piekła przed nim zatrzasnęli i otworowali.

Zmartwiony tem kowal, że ani do nieba ani do piekła przyjąć go nie chcą, powrócił na ziemię do rodzinnej wioski i żył jeszcze długie lata.

## Nieszczęsne kielbasy.

Nauczyciel Zakaszewicz w Turzynie był trochę ograniczony, dlatego nieraz korzystano z jego łatwości. Razu pewnego chwalił się w towarzystwie kolegów, że żona jego zrobiła wysmienite kielbasy z zabitego wieprza.

— Bardzo by się nam przydały do piwa, — rzecze jeden z kolegów — wiesz co kolezko mógłbyś posłać do żony, żeby nam przysłała ze dwie kielbasy

— Co sobie myślicie? — rzecze Zakaszewicz — moja Kasia za coś podobnego gotowa mnie i wam, oczy wydrapać.

Pokusa na kielbasy była bardzo silna, przeło 2 kolegów napisało następną kartkę:

— Kochano żono! Prześlij przez posłańca zaraz dwie kielbasy, gdyż założyłem się o grubą sumę pieniędzy, a jeżeli przyslesz kielbasy, to wygram, a jak nie przyslesz, przegram. Prześlij zatem a wnet. Twój mąż Nicetor Zakaszewicz.

Żona, odebrawszy takie wezwanie, dała owe kielbasy, nie myśląc nic złego.

— Panowie! są kielbasy — rzecze jeden z kolegów, i zaczął zaraz krajać. Podano też spory kawałek Zakaszewiczowi.

— Dziwna rzecz — mówił — że te kielbasy zupełnie tak smakują, jak te, z mojego wieprza.

— Jedz, jakby to były twoje własne — rzekł mu jeden z towarzyszy.

Pan Nicetor nie dał sobie dwa razy powiedzieć, jadł zatem żwawo, popijając piwem, a raz po raz, przepłatał kieliszkiem araczku.

Zakaszewicz wracał do domu zadowolony — gdyż był, jak to mówią pod dobrą datą. Kiedy wszedł do pokoju — rzekł:

— Kochano Kasiu, ale się też najadłem porządnie kielbasy, która tak samo smakowała jak nasza, a że piwo też dobrze smakowało, to też się zahawilem doskonale, że aż mi szumi w głowie.

Żona: Tobie zawsze w głowie szumi, a kielbasa oczywiście dohrze smakowała, gdyż mojej roboty.

Mąż: Jaki twojej roboty, przecież to oni tam częstowali!

Żona: Widać, żeś się porządnie upił, jeżeli nie pamiętasz, żeś przysłał po kielbasy, a ja dwie posłałam, to miał być jakiś gruby zakład, ale niech cię ręka Boska broni, jeżeliś mnie oszukał. Gadaj zaraz jaki to zakład, i coś wygrał?

Mąż: Kasiu, nie a nie nie rozumiem, co mówisz. Nic nie wygrałem, bo się wcale nie założyłem, a zresztą, ten tego... oj spać mi się zachciewa.

Żona: A ty opoju, nicponiu, ja cię nauczę rozumu. To ty umiesz karteczki pisać, ludzię tędną, żonę zakładami, aby wyludzić kielbasy, a potem przydziesz pijany do domu. O, czekaj niedołego, pokra-ko, zawalidrogo, bezbożniku.

Po tym grzmocie słów, nastąpiły czyny, które się boleśnie odbijały na policzkach pana Nicetora. Wytrzeźwiał niedługo i zaczął tak przeraźliwie krzyczeć że aż pies zawył, litując się nad jego łosem.

## Monologi przed zwierciadłem.

(Na godzinę przed balem.)

Podłotek.

Mówią mi wszyscy, że jestem piękna. Janek powiada: „Jak marzenie”. A jednak drzę z obawy, że w sali balowej stanę się nieśmiałym konciusz-

klem. A jeżeli będę sprzedawać piętuszkę? Co to za radość byłaby dla Filipki i jej godnej mamy. Filipka dawała mojej krawczyńni piatkę, ażeby się dowiedzieć koniecznie, w jakim będę stroju. Miłe ziółko! ... Ale ja dałam krawczyńni dziesięć złotych i kazałam jej powiedzieć, że będę mieć suknię różową. I Filipka uwierzyła. Wachlarz połamie ze złości, gdy mnie zobaczy w białej sukni i złotej gazie. A ja wiem, jak Filipka będzie ubrana! Wcale nie ładnie. Ot — jak Filipka.

Boże! nie ukarz mnie tylko, że wysmiewam Filipkę. Niech i ona ładnie wygląda, niech tańczy — byle tylko ja wyglądałam jeszcze ładniej i tańczyłam jeszcze więcej. A jeżeli będę królową balu, to służyć co piątek przez cały wielki post suszyć.

Dojrzała panna.

Dziesiąty karnawał! Już nie idę na bal, ale po prostu na pańszczyznę. Każdy ze znajomych panów przychodzi do mnie, zabiera z ukłonem do tańca, obłeci raz naokoło sali, sadza czempredzej na krzesle i pomówiwszy o pogodzie, znika. Odańczył swój obowiązek i kwita! Dziesięć karnawałów i setka balów! Mogę urządzić jubileusz. Dorka wspominała coś o tem z przekazem panny, która od pięciu lat posiada gotową wyprawę. Co za naiwność! ... Myśli, że faceci w dwudziestym wieku chwytają się na wyprawę.

Niema innej rady! Jeżeli radca ze swoimi od-ciskami i trojgiem dzieci będzie się znowu żalił przedemną, że go kucharka bezczelnie okrada — powiem mu: „Niech pan pogada z rodzicami”.

Akademik.

Niebotyczna szopa! Frak od Felka, lakiery od Wacka, a „szapo“ od Adasia. Składana drużyna, jedno trochę za krótkie, drugie za to za długie, ale w ścisłości jakoś to ujdzie. Najgorsza rzecz: „manco di moneta — brak dowodów. Juźci złoty wieki pieniądza w kuchni akademickiej, ale w saskim należy do drobnych. Ano — Tadek pożycz, a zresztą przecież „mamuty“ będą fundować. Od czegoż istnieją ojcowie córek na wydaniu?

Śczęście, że w sali balowej „szapo“ znajduje się pod pachą, a nie na głowie. Mogłbym powiedzieć, że „szapo“ jest dobry, tylko moja głowa za wielka, ale społeczeństwo nasze nie dorosło jeszcze do poznania takich prawd. (Wklada ręce do kieszeni fraka). Ciekawym, co też ten Felek wyrzucił z tym frakiem, że wszystkie kieszenie są podarte? Przecież nie pożyczal go kelnerom. Aha — pewnie na prywatnych przyjęciach spizarniane zapasy lokował we fraku. Teraz wiem, skąd miał homary i sardynki.

Byle tylko „ona“ przyszła na bal.

Marcowy kawaler.

Starzejemy się... Na głowie coraz to większa parcela pod ujeżdżalnię, pod oczyma gęsie łapki, a w nogach zanik mięśni. Niby Apollo z ciasta zeszlęgo. Już odważniejsze podlotki zaczynają ze mnie pokpiwać, a mamy przestały mnie uważać za dobrą partję. Kawaler marcowy dobra postać na scenie, ale w życiu trochę śmieszna, chyba, że posiada krocie. Lekarz kazał mi na lato jechać do Swoszowice. Dobry sobie eskulap! Nie chce pojąć, że to załoby mnie w oczach wszystkich matek. Swoszowice, a posag! Przecież te dwie rzeczy są do siebie w odwrotnym stosunku. A przydałaby się siarka. W nogach drze, strzyka, łamie — oj, łamie. Dla wodzireja koniec kariery!